

* K I O I A * - schivariuzska capitalna

Kazimiera Hrasnosaká - Lewendá

W połowie stycznia 1944 roku na terenie Wołynia zorganizowano koncentrację partyzanckich oddziałów. Wisko i ja "Kicia" jako nieletniej ten rozkaz nie obowiązywał, postanowiła stawić się w wyznaczonym miejscu. Długo musiała przekonywać rodziców, kochać ich opór, ale w końcu uzyskała zgodę. Zameldowała się w Łanyskach u porucznika "Złotego" jako ochotniczka. Trochę się obawiała, że każą jej wrócić do domu, ale na szczęście właśnie w polowym szpitalu 27 Wołyńskiej Dywizji AK brak było sanitariuszek.

Szpital urządzono w szkole. Nie było w nim nawet stałego lekarza "doktor "Czternastka" - W. Zagórski w ważnych wypadkach dojeżdżał ze szpitala Kupiszowskiego/ i musieli sobie radzić sami. Pracę personelu kierował sanitariusz - Edward Kłikowski. *Kijkowski*

"Kicia", obecnie Kazimiera Lewandowska, wówczas Maria Kłassensak, nie przeszła specjalnego przeszkolenia sanitarnego, miała tylko podstawowe wiadomości udzielania pierwszej pomocy zdobyte na harcerskich obozach i szkolnych kursach PCK, ale nie ujawniała swej niewiedzy. Pilnie podglądała pracę innych i po kilku dniach dawała sobie świetnie radę. I chorzy i personel byli z niej zadowoleni. Najtrudniej jednak było przełamać własną wrażliwość - od dziesięciu dni widok rany przyprawiał Marię o drżenie kolan. W pierwszych dniach pobytu w szpitalu zdarzyło się nawet, że występując doktorowi "Czternastce" przy zabiegu - wyjawiał małe kłamki kołczy z rozbitej czaszki - na widok drgającego bógu zamierała. Ale z czasem i ta wrażliwość minęła.

Życie w partyzanckim szpitalu płynęło spokojnie, aż do 21 stycznia, kiedy to Niemcy podjechali do wioski, w której stacjonował szpital i podpálili ją. Z płonącego domu trzeba było ewakuować rannych i chorych, a transportu nie mieli żadnego. W wielkim pośpiechu wynosili rannych na dwór i lokowali na przysiędanych furmankach, które z dobytkiem i rodzinami uciekały dalej w las. Oddział był ciągle w ruchu.

Kiedy zbliżył się front, zapadła decyzja, że oddziały partyzanckie przesuną się na wschód. Szpital podążał za nimi. Ciężko ranni zostali w Kupiszowie, lżej rannych, z najbliższą na wyzdrowienie, ułożono na wiejskich wozach wyłożonych słomą i zabrano w drogę.

Był to początek wiośny, deszcz, śnieg, zawierność i błoto po kolana. Ciężko maszerowało się wówczas wołyńskimi bandziami...

W okresie tym oddziały partyzanckie coraz częściej staczały walki z Niemcami. Rannych przybywało. Taber się powiększał. Z dnia na dzień pogarszały się warunki zakwaterowania i wyżywienia. Coraz trudniej było o lekarzy. Bandaż trzeba było prać i używać kilkakrotnie.

Śmierzeni i zdrowi przybyli do wsi Mosur, w której mieli zatrzymać się na kilka dni. Każda z sanitariuszek starała się swoim chorzym stworzyć jak najlepsze warunki. Tak się zdarzyło, że właśnie w tym okresie "Kicia" miała pod opieką ciężko rannych, między nimi był jej dowódca z konspiracji, porucznik "Zruk", którym opiekowała się jego żona, Irena Iziarek - "Bożena". Ponieważ zbliżały się święta wielkanocne, dziesięć upiekły ciasto, a nawet pisały się o pisanki.

I właśnie ten świąteczny nastrój przerwały odgłosy walki, i to coraz bliżej. "Kicia" otrzymała rozkaz uchronienia rannych, którzy będą mogli sami się poruszać, i wymarszu do lasu. O zabrośnięciu ciężko chorych nie mogło być mowy, gdyż nie mieli tylu wołów, ani czasu na ich przeprowadzenie. A Niemcy podchodzili coraz bliżej, znajdowali się już w odległości trzech kilometrów od oboczwiska. Powiało grozą. Co zrobić z rannymi? Jak zostawić bezbronnych ludzi, skazać ich na pewną śmierć? W dodatku nie można im było o niczym mówić. "Zruktem" opiekowała się żona. Ciężko chorego, z czterdziestostopniową temperaturą, wyprowadziła do lasu.

Na szczęście partyzanci odparli atak Niemców. Ale wiedzieć musielibyśmy, co okazało się, że są okrążeni.

Taber szpitalny przemykał cicho lednymi drogami. Nagle w pobliżu rozległy się strzały i potworny huk pocisków, narastał warkot czołgów. W jednej chwili powstał okropny szum. Spłoszone konie rwały do przodu, lżej ranni wskakiwali z wołów i uciekali.

"Kicia" miała pod opieką kilka wołów z rannymi i naraz każdy z nich pojechał w inną stronę. Sanitariuszka z przerażeniem rozglądała się dookoła i widzi, że jeden z wołów przewraca się do góry kołami. Nic wie, czy nie ma pod nim rannych. Krótka walka wewnętrzna i decyduje się. Podbiega do furmanki. Rannych na niej nie było, ale w tym czasie jej wozy odjechały daleko.

Wskazuje więc na pierwszy wóz, na którym nie ma sanitariusza i okazuje się, że właśnie tutaj jest bardzo potrzebna. Na słonie leży dwóch ciężko rannych. Jeden nieprzytomny, z przebitym płucem, i drugi, znajomy chłopiec, Kiebasieński z Kowla, z prześrzedoną szesnęką, która mocno krwawi. Ten z przebitym płucem jest nieprzytomny, rzyga się karczowo swego kolegi i szarpie go. Trzeba ich rozdzielić. Jednemu podwiąsała brodę, drugiego próbowała uspokoić, ale ten wciąż płakał i skarżył się, że boli.

Nie mogąc pomóc mu w inny sposób zaczęła go pocieszać. Chory wyraźnie się uspokoił i przytulił się do niej uciekając. Dopiero po kilku chwilach, spostrzegła, że szona. Była to pierwsza śmierć, z którą zetknęła się bezpośrednio. I choć nie znała imienia, nazwiska ani pseudonimu tego chłopca, stał się jej bardzo bliski. Po ośmiej nocy w głębokiej ciszy, pochowali go w lesie, a "Nicia" postanowiła, że wróci tu i odnajdzie jego nogikę.

Po wielu dniach tużanki spadła jedyna rozsądna w tej sytuacji decyzja. Partyzanci przemieszczają się przez Front, a szpital ukryty głęboko w lesie otoczonym bagnami musi jakoś przetrwać i oczekiwać nadejścia Armii Czerwonej. Więjki więc stał się więc dla rannych szpitalnym różkiem, a daszem - niebo nad głowę. Całe szczęście, że nadeszła wiosna, ale w deszczowe dni było naprawdę ciężko. A rannych wciąż przybywało. Personal szpitala niepokoił się coraz bardziej. Byłność się prawie koczowała - nie mieli chleba, supki były coraz "Ciołsze" - koczowały się też środki opatrunkowe. A do tego prawdziwą szoną stały się wazy. Nie było na nie rady.

Odcinające odciski stanowiły dla rannych, co tylko mogło się przydać. Najbardziej była jednak byność. Sytuacja na powień przy najmniej czas poprawiła się nieco. W opuszczonym przez partyzantów obosie zapanował optymizm. I ranni i personal zaczęli wierzyć, że przetrwają i doczekają wyzwolenia. Ale niestety: Pewnego słonecznego ranka wybuchła nagle strzelanina. Wśród rannych powstał niesamowity zamęt. Przerazeni ludzie wyskakowali z wozów i pędzili na odległość dalej od zmagającej się palby. "Nicia" odgryzła tylko szpon sanitarną torbę i pognęła z rannymi w las. Jak się potem okazało, że szpitala podszedł przypadkowo węgierski patrol.

wielu rannych uszło, ale część szpitala dostała się do niemieł. "Kicia" z niewielką grupką znalazła się w lesie bez żadnych środków do życia. W sanitarnej torbie miała jedynie trochę lekarstw, bandaży i waty, i to narazie musiało wystarczyć. Gorzej było z żywnością. Nie widząc innego wyjścia zaczęli szukać dawnych miejsc postoi oddziałów. W końcu znaleźli trochę kartofli i kaszy. Bez dziennie gotowali wiadro gęstego krupniku. Był tak środy, że w życiu takiego nigdy nie jedli.

Wikt z tej grupy, w której znalazła się młodzieńca sanitariuszka, nie orientował się, gdzie się, co się dzieje z resztą szpitala i jak się dostać do ludzkich siedzib. Kilkakrotnie między drzewami signał im zielony płaszcz, ale nie wiedzieli, czy to Polacy, czy Niemcy. Po kilku dniach spotkali radzieckich partyzantów, którzy także znaleźli się w okrążeniu. Lekarni rannych, ale nie więcej nie mogli dla nich zrobić. Po wielu dniach głodu i błądzenia spotkali gajowego, który zgodził się wyprowadzić ich z lasu.

Ustawili się gęstego i szachującego miloszenie szli za swoim przewodnikiem. Kiedy po pewnym czasie "Kicia" obejrzała się do tyłu - śmiała. Za nimi podążał długi szereg uzbrojonych ludzi, którzy wychodzili z ukrycia i dobiegali do rannych. W końcu gajowy zatrzymał się na skraju lasu. Przed nimi, w dość dużej odległości, była droga, a za nią wieś. Mieli iść dalej brzością polny, a potem skrajem lasu. Słońce kryło się już za drzewami, kiedy na drodze dostrzegli niemiecką konnicę. Knów zaczęli uciekać do lasu.

"Kicia" biegła za nimi, ale wypełniona kasą i kartoflami sanitarna torba ciążyła coraz bardziej. Chcąc skrócić drogę, by nie dogonić szkieletów, przecięła na skos polanę i wpadła prosto w śródleśne bagno. Z każdym krokiem zapadała się coraz głębiej. Nie widzi już szkieletów, a boi się wołać o pomoc.

Wreszcie wyszła na twardej grunt mokre do pasa. Została sama w nieznanej okolicy. Doskoła śródleśnego światła, a w pobliżu Niemcy. Ogarała ją rozpacz. Co zrobić? Wyznaczają. Nie może przecieć dostać się w ręce wroga.

